

ŻAKOWSKIE CZASY

W szkole uzyskiwałem świetne stopnie z geografii (po latach, gdy zrobiłem doktorat, mój licealny nauczyciel geografii, prof. Hadam, chyba bardziej był z niego dumny niż ja) i nawet mi przez myśl nie przeszło, że etnografia jest osobną dyscypliną, a nie gałęzią geografii. W roku 1946 zdałem maturę w Sandomierskim Liceum Ogólnokształcącym im. Marszałka Józefa Piłsudskiego (a jakże, na dyplomie maturalnym w tym okresie jeszcze pisano przedwojenną nazwę naszej uczelni!).

Po przyjeździe do Krakowa i wypełnieniu wszelkich dokumentów stanąłem w gmachu Collegium Novum w kolejce wpisujących się na wydział filozoficzno-przyrodniczy, do którego należała geografia. Ogonek był długi, a ja miałem czas, by dowiedzieć się, gdzie mieści się katedra etnografii. Poszedłem więc sprawdzić, jak wyglądają studia na tej mojej wymarzonej specjalizacji. Przedstawiłem się

siedzącej w czytelni pani (jak się okazało, była to dr Jadwiga Klimaszewska, prawa ręka prof. Moszyńskiego) jako kandydat na studia etnograficzne. – Jest pan pierwszym, który się zapisuje na etnografię od sześciu lat – powiedziała.

Co prawda był to rok 1946, a w czasie wojny naboru studentów nie było, ale poczułem się dowartościowany i nie wróciłem do kolejki przed dziekanatem filozoficzno-przyrodniczym, lecz, wypełniwszy nowe dokumenty, zapisałem się na wydział humanistyczny. Dwa tygodnie później zapisał się tam także Zdzych Szewczyk i przez najbliższe dwa lata byliśmy, w sporej grupie słuchaczy prof. Moszyńskiego, jedynymi „prawdziwymi” etnografami. Dopiero potem przybyło nieco więcej studentów – przeważnie przechodzili z geografii czy z socjologii – ale i tak nasza grupka chyba nigdy nie liczyła więcej niż dziesięć osób.

Miało to też tę dobrą stronę, że nie musieliśmy brać udziału w pierwszomajowych



Autor z matką w 1943 r.

spędach młodzieży, gdyż było nas za mało, aby stworzyć osobną grupę. Wprawdzie mieliśmy obowiązek maszerowania ze studentami z kierunków dla nas tzw. „pobocznych”, czyli uzupełniających, ale że każdy z nas studiował pobocznie co innego, więc byliśmy dla ZAMP-owskich gorliwców nie do uchwycenia.

Raz tylko, w roku 1947, chciano mnie widzieć w gronie defilujących geografów (studiowałem geografię, właśnie jako przedmiot poboczny), ale wywieszona w Instytucie Geografii lista – na której było napisane, kto ma iść z którą grupą i kto jest odpowiedzialnym za daną grupę – nagle zniknęła. Cóż, kłódkę na gablotce, w której lista wisała, można było bez trudu otworzyć szpilką.

Dopiero pod koniec moich studiów swobodną atmosferę na seminarium zmroziło narzucenie przez ZAMP prof. Moszyńskiego nowego asystenta. Moszyński protestował, nic nie pomagało. Dowiedział się tylko, że o obsadzie asystentury decyduje partyjna organizacja młodzieżowa, a nie profesor. W końcu jednego dnia powiedział do nas z zaciśniętymi ustami: – Panowie, trzeba uważać. Mamy szpicla.

Wiele lat później, na sesji zorganizowanej w którąś rocznicę śmierci prof. Moszyńskiego, tenże asystent wygłaszał referat o jego uczniach. Następca Moszyńskiego na katedrze, prof. Gładysz, powiedział do mnie: – Któż mógłby lepiej to powiedzieć – przecież on ma nas wszystkich w swojej kartotece!

Studia były ciekawe, a jedynym problemem była konieczność jedzenia. Z ubra- niem nie było najgorzej – na uroczyste okazje dysponowałem przedwojennym garniturem ojcowskim, pożyczanym zresztą zawsze paru kolegom na egzaminy. Na co dzień służyła mi wojenna, zielona kurtka z przedwojennej burki, a na mrozy wkładałem, przysłaną mi przez ojca z Anglii, wielbłądzią marynarską bundę z kap- turem. Tej bundy nie mogli mi darować niektórzy działacze z ZAMP – wybuchła awantura, że chodzę w stroju imperialistycznej marynarki brytyjskiej. Objechałem durni, że nie wiedzą, że jest to odzież noszona w czasie pracy na morzu przez nor- weskich rybaków, od których przejęli ją także i inni ludzie morza. Zrobili głupie miny, przeprosili, że nie wiedzieli, że to jest odzież proletariacka, i dali mi spokój.